



Coraz więcej historyków i publicystów przychyła się do opinii, że zburzenie 60 lat temu wspaniałego opactwa benedyktyńskiego na Monte Cassino było z wojskowego punktu widzenia szkodliwe zaś z punktu widzenia cywilizacyjnego wielką zbrodnią. Okazuje się, że zbombardowanie tej wyjątkowo zasłużonej dla rozwoju cywilizacji zachodniej budowli było całkowicie niepotrzebne i miało przysłonić niekompetencję części alianckich dowódców, którzy nie szanując krwi podwładnych i nie licząc się z wojennymi realiami, za wszelką cenę próbowali realizować propagandowe cele.



Coraz więcej historyków i publicystów przychyła się do opinii, że zburzenie 60 lat temu wspaniałego opactwa benedyktyńskiego na Monte Cassino było z wojskowego punktu widzenia szkodliwe zaś z punktu widzenia cywilizacyjnego wielką zbrodnią. Okazuje się, że zbombardowanie tej wyjątkowo zasłużonej dla rozwoju cywilizacji zachodniej budowli było całkowicie niepotrzebne i miało przysłonić niekompetencję części alianckich dowódców, którzy nie szanując krwi podwładnych i nie licząc się z wojennymi realiami, za wszelką cenę próbowali realizować propagandowe cele.

Założone w VI stuleciu opactwo przez wieki pełniło rolę jednego z głównych ośrodków zachodniego chrześcijaństwa. Z powodu słynnego na cały chrześcijański świat, wielkiego skryptorium, biblioteki i wielu wybitnych uczonych tu pracujących (m.in. Piotr Diakon), nazywano je "Atenami Średniowiecza". Mnisi z Monte Cassino i tysiące innych klasztorów benedyktyńskich ocalili w znacznej mierze dla potomnych dorobek antyku. Przed II wojną światową tamtejsze archiwa, oprócz wielkiej liczby dokumentów dotyczących historii opactwa, zawierały ok. 1400 pisanych ręcznie bezcennych kodeksów, głównie patrystycznych i historycznych. Obecnie owe manuskrypty i inne skarby kultury są prezentowane w klasztorным muzeum. W takim stanie opactwo dotrwało do II wojny światowej.

Na linii frontu

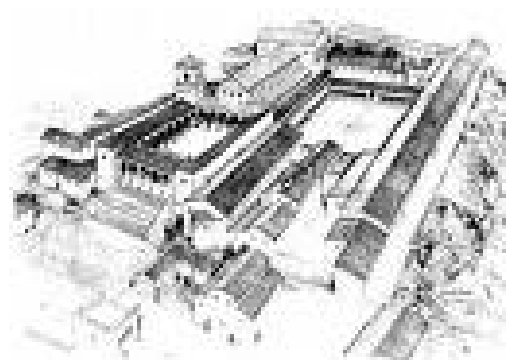
W latach 1943-44 Monte Cassino znalazło się w obszarze bezpośrednich działań wojennych. Nie trzeba było być wojskowym strategiem, aby, oceniając wyjątkowe położenie klasztoru, zrozumieć, że jest ono bezpośrednio narażone na zniszczenie a wraz z nim wszystkie przechowywane tam skarby kultury i dzieła sztuki. Był to punkt o olbrzymim znaczeniu strategicznym. Ze szczytu góry można było obserwować i skutecznie ostrzeliwać całą położoną u podnóża masywu równinę, którą prowadziła droga do Rzymu. Jednocześnie, jak wskazuje wiele dokumentów i świadectw, przedstawiciele obu walczących stron zdawali sobie sprawę jak wielką wartość stanowi opactwo dla światowego dziedzictwa kultury.

Zarówno Niemcy, jak i alianci doskonale zdawali byli świadomi, że zniszczenie najstarszego na kontynencie europejskim klasztoru, mającego wyjątkowe zasługi dla rozwoju cywilizacji zachodniej, sprawdziłoby na sprawców tego czynu piętno barbarzyńców. Szczególnie pragnęli tego uniknąć spodziewający się już wojennej klęski Niemcy, którym zależało na poprawie swojej reputacji w oczach opinii publicznej państw antyhitlerowskiej koalicji. Chcieli też tego uniknąć co światlejsi i nie darzący nienawiścią chrześcijaństwa przedstawiciele dowództwa sił alianckich, tym bardziej, że w szeregach wojsk alianckich służyło wielu katolików. Istniały więc wszystkie przesłanki, aby uratowanie opactwa było całkowicie możliwe. Nie mniej jednak z powodu ogromnego strategicznego znaczenia tego miejsca panowało powszechne przekonanie, że walk w tym regionie nie da się uniknąć, w związku z tym przewidywano, że klasztor na pewno ucierpi, chociażby od przypadkowego ostrzału.

Na ratunek skarbowi kultury

Jako że przed bitwą opactwo znajdowało się na terenach kontrolowanych przez Niemców, w głównej mierze to na nich spoczywała odpowiedzialność za losy klasztoru i zgromadzone tam bezcenne, liczące 70 tys. dokumentów, archiwa i dzieła sztuki. W tej skomplikowanej sytuacji wielu Niemców dostrzegało wyjątkową szansę, aby choć w części zmyć z siebie odium

barbarzyńców, którzy potrafią jedynie mordować i dokonywać rabunków.



Pomysłodawcą akcji ratowania skarbów z Monte Cassino był kapitan Maximilian Becker, służący jako lekarz w elitarniej Dywizji SS "Herman Goering". Zdawał on sprawę ze złej sławy, jaką cieszyła się ta formacja zbrojna i uważał, że ratując skarby kasyńskiego opactwa żołnierze Dywizji zyskają w oczach światowej opinii publicznej uznanie, dzięki czemu zmażą chociaż część win za popełnione w czasie działań wojennych zbrodnie. Tego zresztą argumentu używał w rozmowach z oficerami, których pomoc była niezbędna do zorganizowania akcji. Osobiście Becker, jako człowiek wrażliwy i wykształcony, którego prawdziwą pasją była archeologia i sztuka (bezpośrednio przed wojną uczestniczył w wykopaliskach archeologicznych), pragnął ocalenia opactwa i jego zasobów jako ogólnoswiatowego dziedzictwa kultury. Zresztą, kilka tygodni wcześniej z powodzeniem kierował on akcją ewakuacji ze strefy walk bezcennych zbiorów Muzeum Archeologicznego i Galerii Narodowej w Neapolu, które zostały zdeponowane właśnie w opactwie na Monte Cassino. Mimo wszystko po sondażowych rozmowach z niektórymi oficerami niemieckimi, których udział w ratowaniu zabytków był konieczny, doszedł do wniosku, że pod pozorem ewakuacji może dojść do prób grabieży dzieł sztuki przez żołnierzy działających z upoważnienia wysokich funkcjonariuszy hitlerowskiego aparatu. Chcąc do tego nie dopuścić, Becker uznał za najbezpieczniejsze schronienie dla kasyńskich archiwaliów neutralny Watykan.

Pomimo ogromu trudności (brak ciężarówek, skrzyń, niechęć ufnych w ocalenie klasztoru mnichów, zagrożenie dla konwojów ze strony alianckiego lotnictwa) akcja została przeprowadzona nadzwyczaj sprawnie. Jej głównym wykonawcą był oficer zaopatrzeniowy ppłk Julius Schlegel, który przed wojną był właścicielem firmy przewozowej, co powodowało, że doskonale nadawał się do tego zadania. Za wiedzą i pełną aprobatą głównodowodzącego wojskami niemieckimi we Włoszech, feldmarszałka Kesselringa, zgodę na przetransportowanie skarbów wyraził również dowódca Dywizji "Herman Goering" generał Paul Conrath. Razem z archiwaliami i dziełami sztuki mieli być także ewakuowani zakonnicy i uciekinierzy, którzy znaleźli schronienie w murach klasztoru.

Akcję ratowania kasyńskich archiwów i zdeponowanych tam dzieł sztuki rozpoczęto 17

października, a zakończono w pierwszych dniach listopada 1943 roku. Archiwa i dobra kultury z Monte Cassino oraz dzieła sztuki z Neapolu zostały zdeponowane w magazynach armii niemieckiej w Villa Colle-Ferreto koło Spoleto, ok. 110 km na północ od Rzymu. Na miejscu pozostał opat Gregorio Diamare, kilku zakonników i ciężko chorych uciekinierów oraz wiele posągów i rzeźb, które były zbyt duże, aby można je było wywieźć w warunkach toczącej się wojny.

Próby grabieży

Zgodnie z wcześniejszymi obawami kapitana Beckera zanim skarby z Monte Cassino i Neapolu trafiły pod opiekę Stolicy Apostolskiej i włoskich muzealników doszło do prób, na szczęście nielicznych, ich plądrowania. Niektórzy oficerowie Dywizji "Hermann Goering", którzy brali udział w ewakuacji tych skarbów chcieli "sprezentować" pewną ich ilość swemu patronowi, marszałkowi Rzeszy Hermannowi Goeringowi. Abstrahując już od tego, że byłoby to zwykłe łupiestwo, to uczciwsi inicjatorzy ratowania kassynskich skarbów doskonale zdawali sobie sprawę, że taki "prezent" całkowicie skompromitowałby akcję i zniweczył jej propagandowy cel. Zamiast ratując złą reputację Dywizji, jeszcze bardziej by ją popsuł.

Aby przeciwdziałać grabieży nagłośniono akcję ratowania zabytków w mediach niemieckich i państw neutralnych. Dokonał tego przedstawiciel niemieckiego Urzędu Ochrony Dzieł Sztuki na Ziemiach Okupowanych (*Kunstschutz*) baron Bernard von Tieschowitz. Podobnie jak kpt. Becker nie był on z przekonania nazistą i jak tylko mógł usiłował zapobiegać grabieżom dzieł sztuki z terenów okupowanych. Na zorganizowanej 25 listopada 1943 r. w Palazzo del Quirinale w Rzymie konferencji prasowej Tieschowitz poinformował, że skarby z Monte Cassino są tylko czasowo zdeponowane przez Niemców i szybko zostaną przekazane do Watykanu. W ten sposób osiągnął on podwójny cel – poinformował opinię publiczną w państwach antyhitlerowskiej koalicji o prowadzonej przez niemiecką armię akcji ratowania włoskich dzieł sztuki oraz przyczynił się do reorientacji działań niemieckiej propagandy, która zaczęła nagłaśniać "zasługi" Niemców w ratowaniu włoskich dzieł sztuki. Postawiło to w niezręcznej sytuacji tych, którzy planowali dokonać kradzieży przynajmniej części dzieł sztuki. Odtąd, gdyby poważyli się na to, byłiby ścigani przez niemiecki wymiar sprawiedliwości. Aby jeszcze bardziej sparaliżować plany potencjalnych szabrowników, Tieschowitz spotkał się z feldmarszałkiem Kesselringiem, który poparł działania zmierzające do przewiezienia skarbów do Watykanu. Zabiegi te w dużym stopniu zakończyły się powodzeniem. 8 grudnia 1943 r. wszystkie ewakuowane z Monte Cassino rękopisy i dzieła sztuki (387 skrzyń) zostały przekazane Stolicy Apostolskiej.

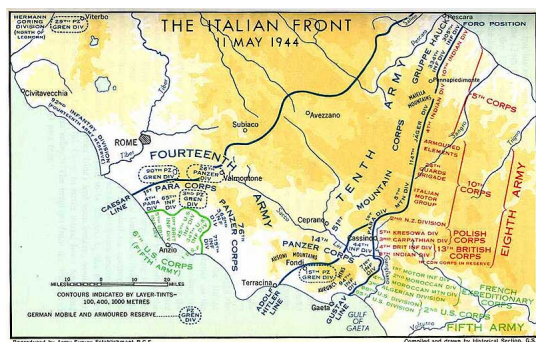
Gorzej miała się sprawa z eksponatami z Muzeum Archeologicznego i Galerii Narodowej z Neapolu. 4 stycznia 1944 r. odbyła się uroczystość przekazania władzom włoskim 600 skrzyń wypełnionych różnego rodzaju dobrami kultury, wśród których były 172 skrzynie z precjozami neapolitańskimi. Jednak po sprawdzeniu dokumentów okazało się, że brakuje 15 skrzyń.

Niemcy tłumaczyli tę rozbieżność tym, że z powodu alianckiego ostrzału 2 ciężarówki nie dotarły do celu. Jednak jak się później okazało jeszcze w drugiej połowie grudnia 1943 r. skrzynie te dotarły do Berlina jako urodzinowy prezent od Dywizji "Hermann Goering" dla jej patrona. Z nieustalonych jednak do dzisiaj powodów marszałek Rzeszy nie przyjął prezentu od "swojej" Dywizji. Pod koniec wojny 15 skrzyń z eksponatami podarowanymi Goeringowi Amerykanie znaleźli w Austrii w kopalni soli Alt-Aussee.

Niepotrzebna bitwa

Patrząc z perspektywy czasu wiemy, że nie tylko nie musiało dojść do bitwy o Monte Cassino, lecz z wojskowego punktu widzenia była ona dla aliantów całkowicie zbędna. Doszło do niej na drugorzędnym teatrze działań i w minimalnym stopniu wpłynęła na końcowy wynik wojennych zmagających. Inaczej sprawa miała się z punktu widzenia Niemców, dla których w przypadku alianckiej ofensywy grzbiet Monte Cassino stanowił doskonałą rubież obrony. O tym, że kassyńskie opactwo ostatecznie znalazło się w centrum wojennych zmagających w zasadzie zdecydował dogmatyczny upór brytyjskiego premiera Winstona Churchilla i niekompetencja najwyższego alianckiego dowództwa.

W sprawie kampanii włoskiej Niemcy opracowali dwie strategie działania. Dowodząc wojskami niemieckimi w północnych Włoszech feldmarszałek Erwin Rommel zaproponował Hitlerowi wycofanie się z Rzymu i całych południowych Włoch oraz oparcie obrony na linii doliny Padu. Atutem tej strategii była bliskość źródeł zaopatrzenia i brak zagrożenia desantami aliantów na tyłach. Przeciwnego zdania był Kesselring, który uważał, że oddanie południa Włoch przybliży bazy alianckiego lotnictwa do granic Rzeszy, umożliwiając intensywne bombardowania centrum Niemiec. W związku z tym lansował tezę obrony w oparciu o masywy górskie na południu kraju przekonując dodatkowo, że taki teren jest łatwiejszy do obrony. Na początku października 1943 Hitler wybrał strategię Kesselringa, w związku z czym Monte Cassino znalazło się na pierwszej linii walk.



Walka o ocalenie

Pomimo doskonałego umiejscowienia, Niemcy, zdając sobie sprawę z wyjątkowego znaczenia opactwa dla zachodniej cywilizacji, postanowili nie obsadzać klasztoru wojskiem, ani nawet nie zamieniać go w punkt obserwacyjny do czego się świetnie nadawał. Jeszcze jesienią 1943 r. feldmarszałek Kesselring zapewnił ówczesnego opata Gregorio Diamare, że opactwo nie zostanie wykorzystane do celów wojskowych.

Świadomi wyjątkowego znaczenia opactwa byli również alianci. W sierpniu 1943 r. po kampanii na Sycylii, w trakcie której nie oszczędzano zabytków, pod naciskiem organizacji kulturalnych i naukowych Departament Stanu powołał Amerykańską Komisję ds. Ochrony i Ocalenia Pomników Historii i Sztuki. Intensywne działania w celu ochrony zabytków, które mogą znaleźć się w strefie działań wojennych podjęli także przedstawiciele włoskich władz muzealnych. Na ich wniosek głównodowodzący siłami alianckimi w południowych Włoszech gen. Harold Alexander wystosował 5 listopada 1943 r. informację do podległych mu dowódców o konieczności zachowania papieskiej posiadłości Castel Gandolfo i opactwa na Monte Cassino.

Nie mniej sytuacja klasztoru była bardzo trudna i w miarę przybliżania się frontu pogarszała się. Nie wiele w tej sprawie mógł zdziałać papież Pius XII, którego kasyńscy benedyktyni prosili o interwencję u obu walczących stron. Los papieża w tym czasie zależał całkowicie od Niemców. W tej sytuacji Ojciec Święty mógł jedynie apelować do Niemców aby nie ufortyfikowali klasztoru, zaś do aliantów aby go nie niszczyli. 25 października stosowną notę otrzymał amerykański *charge d'affaires*

przy Stolicy Apostolskiej, Harold Tittmann, zaś dla pewności drogą radiową przesłano kopię noty delegatowi apostolskiemu w Waszyngtonie, który przekazał ją do Departamentu Stanu. Podobne noty wystosowano do Brytyjczyków i Niemców.



Nie rezygnując z obrony w tym miejscu, co z wojskowego punktu byłoby szaleństwem, niemieccy dowódcy, wśród których było kilku katolików, zrobili wiele, aby nie doszło do zagłady wiekowego klasztoru. Tuż po odjeździe ostatniej ciężarówki (4 listopada 1943 r.), ppłk Schlegel, na prośbę zakonników zostawił dokument, w którym informował, że klasztor jest pod opieką

wojska. Wkrótce Niemcy przysłali do klasztoru kilku żandarmów, którzy mieli chronić budynek opactwa przed szabrownikami i nikogo doń nie wpuszczać. Było to bardzo ważne, ponieważ jeśliby alianci dostrzegli na terenie opactwa jakichś ludzi mogliby wyciągnąć błędny wniosek, że zostało ono obsadzone przez niemieckich żołnierzy.

Z kolei dowódca odcinka obrony na Monte Cassino gen. Frido von Senger, chcąc oszczędzić klasztorowi tragedii poprosił na początku grudnia swego bezpośredniego zwierzchnika, dowódcę 10 Armii gen. Heinricha von Vietinghoffa o określenie statusu kasyńskiego opactwa. Jednak Niemcy nie mieli złudzeń co do tego, że opactwo może być uratowane. Przy braku jakichkolwiek sygnałów ze strony aliantów, że uszanują ustanowioną przez Niemców w promieniu 300 metrów eksterytorialność klasztoru, Niemcy obawiali się wycofać z bezpośredniej bliskości zabudowań. W jednej z notatek do Kesselringa Vietinghoff wyrażał przekonanie, że alianci w decydującym momencie nie będą się starać o jakieś porozumienie, lecz bez skrupułów zajmą opactwo. Mimo to, 11 grudnia 1943 r. feldmarszałek Kesselring podjął osobiście decyzję o nieobsadzaniu opactwa przez wojska niemieckie. Niemcy wyłączyli zabudowania klasztorne z systemu swoich umocnień. 29 grudnia ambasador Niemiec przy Stolicy Apostolskiej baron Ernst von Weizsaecker wydał oświadczenie, w którym stwierdzał, że opactwo nie zostało zajęte przez niemieckie wojska, a przy bramie postawiono wartownika, który ma nie wpuszczać do środka wojskowych. Ambasador zwrócił też uwagę, że zagrożenie dla opactwa stanowią przebywający tam cywile (na początku lutego 1944 r. ich liczba wzrosła do ok. 800 osób), którzy mogą być wzięci przez alianckich zwiadowców za niemieckich żołnierzy. Jak pokazała przyszłość jego obawy były całkowicie uzasadnione.

Oświadczenie Weizsaeckera mogło stanowić moment zwrotny w walce o ocalenie opactwa. Niestety, 8 stycznia 1944 r. Stolica Apostolska przesłała aliantom tylko najmniej istotny fragment oświadczenia niemieckiego ambasadora, mówiący ogólnikowo, że "niemieckie władze wojskowe, robią wszystko, co jest możliwe, by uchronić opactwo na Monte Cassino przed wojennymi zniszczeniami". W ten sposób została zaprzepaszczona, jak się wydaje, jedyna w tej batalii realna szansa na uratowanie opactwa.

Zbrodniczy kaprys Fryberga

Bezpośredni wpływ na podjęcie przez aliantów decyzji o zniszczeniu zabudowań opactwa na Monte Cassino miała przyjęta przez nich błędna strategia frontalnego ataku na umocnione pozycje niemieckie. Spowodowała ona, że wojska alianckie atakując doskonale ufortyfikowane pozycje niemieckie ponosiły olbrzymie straty. Przełomowe znaczenie dla losów opactwa mogła mieć klęska Amerykanów nad rzeką Rapido (20-22 stycznia 1944), gdzie stracili oni prawie 1700 żołnierzy. Choć bitwa pokazała, że atakowanie niemieckich pozycji od frontu jest bezsensowne, względy ambicjonalne zdecydowały, że alianckie dowództwo trzymało się kurczowo strategii atakowania niemieckich umocnień od frontu.

Szczególnie wielkie "zasługi" w utwierdzaniu w tym absurdzie najwyższego alianckiego dowództwa miał dowódca Korpusu Nowozelandzkiego gen. Bernard Freyberg. Wprawdzie w opinii swoich podwładnych i współpracowników był on człowiekiem o ograniczonej inteligencji jednak miał ogromne wpływy w najwyższym alianckim dowództwie. Postawienie go na stanowisku, które wymagało wielkiej politycznej finezji stworzyło dla kasyńskiego opactwa śmiertelne zagrożenie.

Niestety, w najwyższym alianckim dowództwie nie mieli takich wpływów charakteryzujący się wysokim intelektem dowódca Francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego gen. Alphonse Juin oraz podwładny Freyberga, dowódca Dywizji Hinduskiej gen. Francis Tuker. W ich opinii, pomimo miazdzącej przewagi ogniowej, bezpośredni atak na doskonale ufortyfikowane pozycje Niemców nic by nie dał, powodując jedynie wielkie straty w ludziach. Obaj zgodnie twierdzili, że na tym terenie należało zrezygnować z czołowych ataków, a zamiast tego dokonać manewrów oskrzydlających, dzięki czemu alianckie wojska wyszłyby na tyły Niemców odcinając im linie zaopatrzenia. W tej sytuacji okopani wokół klasztoru Niemcy musieliby albo się wycofać, albo poddać. Podjęcie takich działań zaproponował Juin w styczniu dowódcy 5 Armii, generałowi Wayne'owi Clarkowi, a 4 lutego gen. Tuker Freybergowi. Niestety, obaj zwierzchnicy całkowicie zignorowali racjonalne argumenty swoich podwładnych. Faktem jest, że zarówno Clark jak i Freyberg działali pod silną presją najwyższego dowództwa, które nie zdając sobie sprawy ze skali trudności, żądało od podwładnych szybkich rezultatów. Ufając ogromnej przewadze ogniowej, liczebnej i materiałowej sztabowcy, zmyleni mirażem zaledwie 5 kilometrów terenu do zdobycia, nie chcieli słyszeć o manewrach oskrzydlających. W swoim zaślepieniu nie zdawali oni sobie sprawy, że w tamtych warunkach olbrzymia przewaga aliantów po prostu nic nie znaczy. Za to wierzyli, że jeszcze tylko jedno natarcie i sprawa będzie załatwiona.

W wyniku zaślepienia i niekompetencji alianckich dowódców atakujący ponosili więc olbrzymie i, co gorsza, niepotrzebne straty. Taka sytuacja spowodowała zaniepokojenie opinii publicznej w państwach antyhitlerowskiej koalicji. Kierując się mniemaniami i plotkami, które powstały w oparciu o równie ciekawe, co nie do końca prawdziwe relacje korespondentów wojennych, szybko uznano, że głównym sprawcą niepowodzeń aliantów nie jest zbrodnicza ignorancja dowódców, lecz mury benedyktyńskiego opactwa. Co ciekawe złudzeniom tym ulegali także walczący o Monte Cassino alianccy zwiadowcy.

Dostrzegając obecnych w opactwie uchodźców nabrano przekonania, że klasztor został obsadzony przez niemieckich żołnierzy. Z kolei widząc niezwykłą skuteczność niemieckiej obrony nabrano przekonania, że Niemcy w opactwie urządzili punkt obserwacyjny, z którego kierowano ogniem artylerii. Dowodem na to miały być dobrze widoczne – jak przypuszczano – anteny radiostacji (w rzeczywistości była to nieczynna wówczas stacja meteorologiczna). W ten

sposób wbrew stanowisku wielu amerykańskich generałów nietykalność opactwa na Monte Cassino zaczęto poddawać coraz ostrzejszej krytyce. W USA i Wielkiej Brytanii rozpętano bezprecedensową nagonkę medialną na polityków i generałów sprzeciwiających się zbombardowaniu klasztoru.

Gdy wbrew radom podwładnych Freyberg postanowił zaatakować Monte Cassino frontalnym atakiem, następcą Tukera na stanowisku, gen. H.W. Dimoline wieczorem 11 lutego jako pierwszy poprosił o zbombardowanie opactwa. Uznał on, że skoro nie jest w stanie zmienić obłądnej decyzji Freyberga, to jedyną racjonalną rzeczą w tej sytuacji jest dokonanie paraliżującego lotniczego i artyleryjskiego bombardowania pozycji nieprzyjaciela, po którym nastąpiłby natychmiastowy nocny atak piechoty. Dzień później gen. Tukan ze szpitala w Casercie wystosował do Fryberga memorandum sugerujące "izolację" wzgórza, gdyby zarysowany wyżej scenariusz nie był możliwy do zrealizowania.



Zbombardowaniu opactwa sprzeciwili się dowodzący w rejonie walk i znający tamtejszą rzeczywistość, generałowie Geoffrey Keyes i Charles Ryder (i wielu innych wysokich rangą oficerów). Gen. Keyes, który w przeciwieństwie do ograniczonego Fryberga nie miał złudzeń co do szans powodzenia frontalnego natarcia nawet poprzedzonego wielkim bombardowaniem, uważał ponadto, że zbombardowanie opactwa podniesie jedynie jego wartość bojową. Wcześniej Keyes odbył nad opactwem wiele lotów i osobiście się przekonał, że nie ma tam Niemców.

Ze względu na powagę miejsca także alianccy zwiadowcy próbowali upewnić się czy w klasztorze rzeczywiście są obecni niemieccy żołnierze. Informacje jakie uzyskano były często niepewne, bardzo zniekształcone, a nawet sprzeczne. Jeden z raportów donosił na przykład, że Niemcy znajdują się w oznaczonym flagą Czerwonego Krzyża opactwie na wzgórzu 468. W

rzeczywistości na wzgórzu tym był wykorzystywany przez Niemców kamienny dom folwarku Albaneta, leżący ok. 2 km od opactwa. Oczami wyobraźni alianccy żołnierze widzieli w oknach klasztoru niemieckich obserwatorów, kierujących ogniem artylerii, a na murach opactwa karabiny, których w rzeczywistości nie było. Swoimi wyobrażeniami starali się najwyraźniej potwierdzić wydedukowane wcześniej wnioski, tłumaczące skuteczność i siłę niemieckiego oporu.

Niektóre doniesienia informowały z kolei, że w opactwie znajduje się znaczna liczba uciekinierów. Oficer wywiadu 5 Armii, płk Edwin Howard analizując fotografie lotnicze stwierdził kategorycznie, że Niemcy nie wykorzystują opactwa do celów obronnych i, że nie ma żadnego powodu, by je bombardować. Także i on ostrzegał, że zbombardowanie opactwa stworzy Niemcom lepsze pozycje obronne. Z bliższej analizy raportów wywiadowczych wynika, że o domniemanych punktach obserwacyjnych najczęściej informowano nie dlatego, że one tam były, lecz dlatego, że klasztor się do tego doskonale nadawał. Dla wielu, a zwłaszcza dla żadnych sukcesów dowódców, to wystarczyło aby domniemania wziąć za pewniki.

Mimo sprzecznych informacji wywiadowczych i małych szans na powodzenie planu Fryberga, ulegając presji polityków i anglo-amerykańskiej opinii publicznej gen. Aleksander wydał rozkaz o zbombardowaniu klasztoru. Wielkiego wsparcia dla bezsensownej prośby Fryberga, który nie przyjmował informacji amerykańskich dowódców polowych, że w klasztorze nie ma Niemców, udzielił szef sztabu Alexandra, gen. John Harding.

Jak to się stało, że w sprawie tej zwyciężył głos ograniczonego i kierującego się bardziej fantazjami niż realiami Fryberga? Otóż jego korpus cieszył się w siłach alianckich wyjątkowym statusem. Fryberg mógł w każdej chwili, powołując się na rażąco wysokie straty, wycofać korpus nowozelandzki z walki, czego nie chcieli ani wykrwawieni i mniej doświadczeni Amerykanie ani Brytyjczycy. Poza tym udało mu się umiejętnie zastraszyć stojących wyżej w dowódczej hierarchii Clarca i Alexandra. Z powodu ślamazarnego przebiegu kampanii włoskiej obaj znajdowali się w trudnej sytuacji. Fryberg zasugerował im, że odmowa zbombardowania opactwa, może być odebrana jako tchórzostwo, co w efekcie doprowadzi do utraty przez nich swoich stanowisk. Alexander i Clarc stali się więc zakładnikami własnej strategii zakładającej przełamanie niem. linii obrony frontalnym atakiem. Wydając Freybergowi rozkaz ataku nie mogli odmówić jego prośbie zbombardowania opactwa, czynu równie bezsensownego jak frontalny atak na pozycje Niemców.

Zagłada

Ustalony przez Fryberga plan ataku został zniweczony już na samym początku. Termin ataku na klasztorne wzgórze ustalono na noc z 15 na 16 lutego. Tymczasem sztab stanowiącej część

nowozelandzkiego korpusu dywizji hinduskiej poinformował gen. Freyberga, że natarcie nie może odbyć się wcześniej niż w nocy z 16 na 17 lutego. W tej sytuacji zbombardowanie opactwa musiałyby nastąpić 16 lutego wieczorem. Niestety 14 lutego wieczorem Freyberg otrzymał z dowództwa 5 Armii wiadomość, że jedyny możliwy termin nalotu to rano 15 lutego. Przyspieszenie nalotu oznaczało, że Dywizja Hinduska nie tylko nie zdążyłaby przygotować się do natarcia, ale nieprzygotowana musiałaby nacierać za dnia, co skazywało natarcie na pewną klęskę.

Pomimo że przy założeniu przyspieszonego nalotu cała akcja straciła sens, Freyberg nawet nie usiłował przełożyć bombardowania, co byłoby w tej sytuacji logiczne, ani tym bardziej nie odwołał go. Oznajmił on jedynie dowódcy Dywizji Hinduskiej gen. Dimoline'owi, że nalot został zaplanowany na prośbę Dywizji Hinduskiej i gdyby go teraz odwołano, dowództwo już nigdy nie przydzieliłoby im samolotów. W tej sytuacji, kiedy wiadomo już było, że po zbombardowaniu opactwa natarcia piechoty nie będzie (ze względu na nieprzygotowanie Dimoline odmówił ataku), cała akcja miała się stać jedynie zaspokojeniem zbrodniczej zachcianki Freyberga. Mimo to nikt nie ośmielił się jej zakwestionować. Los opactwa został przesądzony.

15 lutego 239 amerykańskich bombowców, w tym 144 "latających fortec" (ciężkie bombowce B 17) prowadzonych przez mjr. Bradforda E. Evansa i mjr. Franka B. Chappella w trakcie trzygodzinnego bombardowania zamieniło wspaniały przybytek nauki, kultury i wiary w jedno wielkie rumowisko. Na opactwo zrzucono ponad 450 ton bomb. Zgodnie z przewidywaniami nawet średnio rozgarniętych dowódców, bombardowanie, które jak później tłumaczyła aliancka propaganda, miało pozbawić opactwo strategicznego znaczenia, przyniosło dokładnie odwrotny efekt. Chociaż Amerykanie przypuszczali, że tak monstrualnego bombardowania nikt nie mógł przeżyć, zważywszy na dużą liczbę obecnych w opactwie uciekinierów liczba ofiar nie była aż tak wielka. Ocaleli wszyscy mnisi, z których żaden nie został nawet ranny. Nie wiadomo ilu zginęło przebywających w klasztorze uchodźców, których liczbę szacuje się na 1-2 tys. Na podstawie przeprowadzonych po wojnie badań przypuszcza się, że zginęło kilkuset cywilów, głównie kobiet i dzieci.

Ani wtedy, ani po wojnie nie znaleziono żadnych dowodów, na to, że w wyniku ówczesnego bombardowania zginął choćby jeden Niemiec. Po bombardowaniu opat Diamare złożył pisemne oświadczenie, że w chwili bombardowania w klasztorze nie było żadnego Niemca.

Spektakl ludzkiej głupoty

Z całej akcji urządzono wielki spektakl. W rejon bombardowania zjechało się bardzo wielu dziennikarzy. W trakcie bombardowania tysiące alianckich żołnierzy wiwatowało z radości będąc święcie przekonanym, że ich samoloty likwidują niemiecki punkt oporu. Z pewnością to

przekonanie było źródłem licznych "przywidzeń". Po zbombardowaniu klasztoru przez pierwszą grupę samolotów do sztabu 5 Armii zaczęły napływać meldunki o uciekających "Niemcach". Dowodem na potwierdzenie obecności Niemców w klasztorze miał być przechwycony przez nasłuch radiowy tekst: *Ist Abt noch im Kloester? Ja*, który przetłumaczono: "Czy dowództwo batalionu jest wciąż w klasztorze? Tak". Szybko jednak okazało się, że tłumaczenie to było błędne. Wprawdzie *Abt* jest wojskowym skrótem oznaczającym dowództwo batalionu, jednak słowo to po niemiecku znaczy także "opat". Właśnie w tym znaczeniu pojawiło się to słowo w niemieckim meldunku o czym świadczy dalsza część wiadomości:
Sind Moenche darinnen?
(Czy są tam mnisi?).

Szokować może wielka liczba nieprawdziwych doniesień na temat domniemanej obecności Niemców w klasztorze. Zdumiewające z jaką łatwością uciekających przed bombami uciekinierów brano za niemieckich żołnierzy. Najwidoczniej wszyscy bardzo chcieli wierzyć, że zbombardowanie opactwa miało sens. Tymczasem, jak już wcześniej podkreślaliśmy, było dokładnie odwrotnie.

Fałszywe przekonanie, że Niemcy przystosowali klasztor do celów wojsk sprawiło, że ta barbarzyńska akcja spotkała się z powszechnym poparciem w USA i Wielkiej Brytanii. Akcje masowo poparli także zamieszkali w tych krajach katolicy. Stolica Apostolska zareagowała dopiero 3 dni po bombardowaniu. Wydano bardzo powściągliwe oświadczenie, w którym zapewniono, że uczyniono wszystko dla uratowania opactwa a także wyrażono przekonanie, że osąd co do przyczyn "tak wielkiego nieszczęścia" będzie można wydać dopiero "w bliższej lub dalszej przyszłości".

Jednak Watykan doskonale wiedział, że zbombardowano nieobsadzone przez Niemców opactwo. Dał temu wyraz dobitnie sekretarz stanu kard. Maglione w rozmowie z amerykańskim *charge d'affairss*

, Haroldem Tittmannem. Hierarcha stwierdził wówczas, że Niemców nie było w klasztorze, a sam nalot określił m.in. jako "przejaw wielkiej głupoty". Nie mniej Stolica Apostolska powstrzymała się od publicznego potępienia aliantów za zniszczenie opactwa. Możliwe, że u podstaw tej decyzji leżała obawa, iż znani z braku poszanowania dla zabytków alianci (podczas lądowania na Sycylii alianci dokonali wielkiego spustoszenia wśród tamtejszych zabytków, w tym i kościołów) mogliby nawet zbombardować obsadzony przez Niemców Rzym. Nie była to obawa bezpodstawna. Alianci niszczyli każdy obiekt, gdzie podejrzewali obecność Niemców. Tę zasadę zastosowano podczas alianckiego nalotu na letnią rezydencję papieża w Castel Gandolfo, gdzie zginęło jedynie 17 zakonnic.

Przedwczesna radość



Radość alianckich żołnierzy była przedwczesna. Nie zdawali oni sobie sprawy, że już wkrótce, tysiące z nich będzie musiało oddać życie w walce o ruiny opactwa. Za sprawą aliantów, to miejsce modlitwy i nauki w lutym 1944 r. stało się kluczową pozycją niemieckiego systemu umocnień w ramach tzw. linii Gustawa, zamykającej aliantom najkrótszą drogę do Rzymu. Najtrafniej scharakteryzował zbrodniczość alianckiego bombardowania włoski pisarz i publicysta katolicki, Vittorio Messori: "Kiedy skończyło się bombardowanie i niczego już nie można było ocalić, Wehrmacht zajął górę i ufortyfikował się w rumowisku. Barbarzyńska strategia Amerykanów okazała się cenna dla Niemców, ponieważ ruiny stały się tak doskonałym miejscem obrony, że można było w nich przez całe miesiące odpierać najbardziej zaciekle ataki. Trzydzieści tysięcy poległych aliantów, wśród nich wielu Polaków, spoczywa na tamtejszym cmentarzu z powodu amerykańskiej decyzji zburzenia klasztoru. Z wojskowego punktu widzenia było to szaleństwo, a z kulturalnego – zbrodnia" (*Czarne karty Kościoła*, Katowice 2001).

Już pierwsze dni po zburzeniu klasztoru całkowicie skompromitowały tych, którzy twierdzili, że jego zburzenie przyspieszy ofensywę i przyczyni się do zmniejszenia strat. W czasie próby zajęcia opuszczonych ruin (zostały obsadzone przez niemieckich spadochroniarzy 20 lutego) w nocy z 17 na 18 lutego żołnierze Dywizji Hinduskiej przekonali się, że stało się dokładnie odwrotnie. Atakujący ponieśli ogromne straty nawet nie zbliżając się do świętego rumowiska. Ogółem w przeprowadzonych tej nocy atakach dywizja straciła 530 żołnierzy, podczas gdy we wcześniejszych dwóch odpowiednio 64 i 130. Tego samego dnia pomimo braku punktu kierowania ogniem w opactwie, co wcześniej wmawiali alianci, Niemcy odparli atak 200 Nowozelandczyków, zabijając lub raniąc 130 z nich.

Od lutego do maja Niemcy z powodzeniem odpierali ataki oddziałów alianckich. W maju 1944 r. do walki wszedł dowodzony przez generała Władysława Andersa 2 Korpus Polski, walczący w składzie brytyjskiej 8 Armii. Pierwsze natarcie Korpusu (11-12 V) zostało przez Niemców odparte. Związało ono jednak duże siły nieprzyjaciela i ułatwiło aliantom przełamanie niemieckiej obrony w innym miejscu. Podczas drugiego natarcia (17-19 V) 2 Korpus zajął wzgórze z ruinami opactwa, a następnie przełamał drugi pas obrony niemieckiej, zwany linią Hitlera. W walce poległo 923 polskich żołnierzy, ok. 3 tys. zostało rannych, zaś 345 uznano za zaginionych. Jednak wbrew temu co mamy zakodowane w naszej świadomości klasztor nie został zdobyty frontalnym atakiem. Niemcy wycofali się z ruin w nocy z 17 na 18 maja. Rankiem polscy żołnierze zajęli opuszczone rumowisko, w którym znajdowała się grupka ciężko rannych niemieckich żołnierzy.

Niemcy wycofali się ponieważ alianci nie mogąc zdobyć ich punktów oporu frontowym atakiem zdecydowali się wreszcie je obejść. Manewr ten powiódł się w dużym stopniu dzięki temu, że Polacy związali walką znaczną część sił niemieckich. W maju alianci zrobili więc to, co na początku roku proponowali generałowie Keyes, Juin i Taker, tylko, że w ciągu tych pięciu miesięcy w beznadziejnych walkach niepotrzebnie zniszczono wspaniałą budowlę, zaś w walkach o jej ruiny niepotrzebnie straciło życie kilkadziesiąt tysięcy alianckich i niemieckich żołnierzy.

Antykatolicka nienawiść

Obecnie nie jest tajemnicą, że alianci podejmując decyzję o zbombardowaniu opactwa, doskonale wiedzieli, że nie było ono zajęte przez niemieckich żołnierzy. Przyznał to sam ówczesny brytyjski premier Winston Churchill w swojej wielotomowej pracy *Druga Wojna Światowa* (1952). Jego zdaniem Niemcy w każdej chwili mogli wykorzystać zabudowania klasztorne do obrony, zaś zniszczenie opactwa miało im to bezpowrotnie uniemożliwić. Jednak podane przez niego uzasadnienie zburzenia opactwa jest sprzeczne z argumentacją głównego inicjatora zbombardowania klasztoru gen. Freyberga.

Messori nie znajduje innego wytłumaczenia dla tego z pozoru bezsensownego czynu, jak antykatolicka nienawiść: "Amerykanie wiedzieli, że na górze i w klasztorze nie było niemieckiego wojska. Wiadomo także, że zdecydowali o zniszczeniu klasztoru nie z powodów wojskowych, lecz dla samego zniszczenia, co można wytłumaczyć jedynie pragnieniem usunięcia z oblicza ziemi jednego z bardziej znaczących symboli tzw. »katolickiego papizmu«. Barbarzyńska operacja miała cele inne od tych, które publicznie ogłoszono w godzinie bombardowania".

Prawdziwość tych słów wydaje się potwierdzać rozpętana w USA i Wielkiej Brytanii medialna kampania, w której zjadale atakowano dowódców sprzeciwiających się bombardowaniu opactwa. W nagonce tej roilo się od kłamstw i silnych antykatolickich akcentów. Wielu wrogów Kościoła katolickiego nie ukrywało swojej radości ze zbombardowania klasztoru: "Nie przypominam sobie, żeby coś, co widziałem lub zrobiłem, tak mnie uszczęśliwiło jak widok tego zburzonego na wzgórzu opactwa... Z radością patrzyłem na ten symboliczny rozpad Kościoła i skostniałej tradycji", napisał w swoim dzienniku tuż po bombardowaniu kpt. Sidney Waugh, przed wojną znany jako wybitny rzeźbiarz.

Do zniszczenia opactwa na Monte Cassino prowadziło wiele dróg, zaś wrogość wobec Kościoła katolickiego była tylko jedną z nich. Istotne było najpierw przyjęcie, a potem kurczowe się jej trzymanie, błędnej strategii obrony polegającej na frontalnym ataku doskonale ufortyfikowanych niemieckich pozycji. Konsekwencją tego był brak postępów alianckiej ofensywy okupiony dodatkowo ogromnymi stratami wśród żołnierzy. W tej sytuacji odpowiedzialni za błędy dowódcy, całą winę za zaistniałą sytuację zaczęli zrzucać na górujący nad okolicą klasztor, któremu przypadła rola kozła ofiarnego.

Zniszczenie klasztoru w pewnej chwili było wygodne dla całego alianckiego dowództwa i politycznego establiszmentu; i generałowie i politycy mogli, przynajmniej na jakiś czas, ukryć w ten sposób swoją niekompetencję pozorując jednocześnie swoją determinację w oszczędzaniu żołnierskiej krwi. Z kolei załamani niepowodzeniami żołnierze mogli przynajmniej na krótko poprawić swoje samopoczucie, wierząc, że od tej pory opór Niemców będzie słabszy. Przemawia za tym fakt, że prawie nikt nie stanął w obronie opactwa wówczas gdy plan gen. Freyberga stracił sens i zbombardowanie klasztoru mogło tylko przynieść korzyść dla Niemców.

Po wojnie USA i Wielka Brytania uparcie trzymały się tezy, że zniszczenie opactwa na Monte Cassino było uzasadnione. Dopiero w końcu lat 60. XX w. w wydawanych w USA publikacjach zatryumfowała prawda. W oficjalnej historii armii amerykańskiej z 1969 r. stwierdzono, że opactwo nie było zajęte przez wojska niemieckie. Zdumiewający jest, i wiele dający do myślenia, jest upór Wielkiej Brytanii, która do dnia dzisiejszego nie zmieniła swego stanowiska o "niekwestionowanych dowodach" na wykorzystywanie opactwa przez Niemców. Żadnej pokory wobec prawdy nie wykazuje Nowa Zelandia, która zawzięcie broni gen. Freyberga, który nalegał na zniszczenie opactwa nawet wtedy, gdy nie miało to najmniejszego sensu.

Z kolei dla niemieckich żołnierzy bitwa na Monte Cassino stanowiła chyba najjaśniejszą kartę w generalnie haniebną historię całej II wojny światowej. W bitwie o Monte Cassino Niemcy nie tylko walczyli z wielką odwagą i mistrzostwem, lecz także był to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy walczyli z honorem i nie dopuścili się zbrodni wojennych.